

Fassbinder

Umiem siedzieć i nic nie robić, dbać, żeby mnie nie rozpraszało ważne w TV, ani perspektywy, które się kurczą zgodnie z postępującym według zegara kalendarzem. Jak pobrudzę sobie palce sosem z makaronu, to specjalnie wycieram je o ścianę, żeby mieć na co patrzeć; nowy ład brudu na mapie tapety gromadzi moje myśli wokół podboju obszarów na wymyślanie nowego. Bo te kształty z brudu jak wiadomo stają się jasne dopiero po dłuższej obserwacji, po latach wgapienia się, najpierw to jest ptak, potem zbełtane żółtko albo zdeptana tkanka łączna – na kacu i te transformacje są miarą intelektualnego postępu i postępującego defetyzmu. Inne spojrzenie na sprawy podłogi z perspektywy tego samego kibla. Kolejne rysy na kafelkach są jak połamane zęby; da się używać, ale trzeba wydlubywać brud ze szczelin. Wszystko czernieje. Interesuje mnie czym dokładnie jest to, co wyskrobuję wykałaczką z rysy w kaflu pomiędzy prysznicem a niczym; jakby to wsadzić pod mikroskop, to czy to się rusza? Ile różnych DNA tam jest i ile z tych osób w ogóle kojarzę? Ile wstecz sięga historia tej łazienki na podstawie molekuly?

Holandia vs Brazylia 2:0. Wynik może uległ już mianie, bo Internet przerywa z częstotliwością z jaką Holendrzy są przy piłce. Otwieram pierwsze piwo. Za oknem ściana deszczu przedłuża mój pokój w nieskończoność. Jest mokry lipiec, wakacje ściekają smętnie z rynien, żeby utopić się w kałuży na dnie podwórka. Perła chmielowa. Byłam w sklepie w przerwie, bo w końcu zawsze dobrze jest się napić, na nadmiar okazji też nie narzekam. Jak choćby samotny wieczór i mistrzostwa świata. Ja za to uczestniczę w mistrzostwach mizerni duchowo-fizycznej. Żeby strzelić kolejnego, prywatnego gola w meczu, w którym strzały samobójcze prowadzą do zwycięstwa, idę do lodówki i gapię się przez chwilę na jej nieatrakcyjną zawartość. Powinnam sobie sprawić lustro w lodówce. W końcu pada na twarózek, śledzia w oleju, różka truskawkowego i kilka czerstwych kromek chleba baltonowskiego chybotliwymi warstwami stacjonującymi na szczycie lodówki. Sadowię się ponownie przed jednowymiarowym oknem na świat, bogatsza w nadzieje jakie niesie z sobą potencjalny smak wybranych półproduktów. Pochłaniam je stopniowo, zaczynając od najzimniejszych. Ekran laptopa odcina się fluorestencyjną zielenią boiska na tle buro-szarego pokoju, który wygląda jak kadr z czarno-białego filmu, którego nikomu się nie chce oglądać. Trochę tak jest przez ciemność, a trochę naprawdę jest tak, że mecz jest jedyną kolorową plamą w całym pokoju.

Właściwie w ogóle nie obchodzi mnie futbol. Bardziej oglądam to, bo wiem, że w tym samym momencie robi to ¼ świata. Gdybym włączyła film, który mam zapauzowany na komputerze, który i bez pauzowania wyglądał jak pauza, to prawdopodobieństwo, że w tym momencie jestem jedyną oglądającą ten film byłoby spore, a ja nie chcę być aż tak samotna.

Noc będzie długa. Po pierwsze jest pełnia, a po drugie mam sześć piw, bo w sklepie była promocja – sześć w cenie pięciu. Miałam ochotę na trzy, ale skoro mam sześć, to niech tak będzie.

Dzwoni telefon. Robert. Nie ogląda meczu w takim razie, bo akurat jest akcja. Słaba, jak cała reszta, jak moja wątroba. Przez chwilę odruchowo odkładam go nie odbierając, ale im bardziej wiertło dzwonek podbijane przez wibracje o biurko rezonuje moim łokciem stacjonującym nieopodal, tym bardziej mnie to wkurwia i czuję chęć zemsty. Podnoszę telefon i jadownicę wciskam zielony guzik. Nie odzywam się, słucham go trochę, tak, jak obserwuje się chomika w terrarium.

-Hej, słyszysz mnie? – zawodzi na pijackiej, płacziwej nucie. W jego tle Szpakowski.

Żeby urozmaicić sobie ten jeden z momentów oddychania, trawienia i bezwiednego przeprowadzania czynności fizjologicznych w ukryciu mojego całkiem niezłego ciała, wracam do zatrzymanego programu VLC, który odtwarza właśnie w połowie urwane 'Liebe ist kälter als der Tod'. Włączam play.

- ...halo? Halo! – to Robert.

- Da ist mein Kopf ganz dumm, wie leer - mówi akurat Fassbinder.

- Wenn Du meinst, dann lassen wir's ganz einfach bleiben – odpowiada bohaterka o imieniu Joanna.

- Halo – włącza się Robert – Sorry, I don't speak German. There must be some sort of misunderstanding, is there Ewa around?

- Das bringt nur Unheil, ja? – pyta Fassbinder.

- Halo! Excuse me! Ewa?

Ekran odpowiada ciszą zakócaną przez szумы z taśmy filmowej. Joanna wypuszcza nosem dym papierosowy.

- ...Ewa? – pyta Robert trochę samego siebie, a trochę sprawdza czy ktoś go słyszy.

Zaczyna mnie on wkurwiać. Histeryzuje na temat naprostowywania rzeczywistości, zamiast po prostu włączyć się w bieg wydarzeń. Rozłączam się i w ogóle wyłączam telefon, bo wiem, że zaraz znowu zadzwoni. Idę na siku. Uwielbiam sikać; zwłaszcza po piwie – mogę natężyć strumień moczu niemal do wiązki lasera zdolnego roztrzaskać toaletę na muszelki klozetowe.

Holandia wygrała. Patrząc na ich szczęście, bezwiednie łapię się na uśmiechach i na skwapliwej radości, na tanich emocjach, które mnie nie dotyczą. Zostały mi jeszcze trzy puszki. Chcę się uśpić nie na tyle, żeby nie myśleć, ani nie pamiętać, ile żeby po prostu nie być i żeby wiedzieć, że nie jestem. Wiem, że myślenie czeka mnie jutro i w pierwszej chwili po przebudzeniu po prostu poodnajduję swoje ciało w pościeli, napiję się wody i wtedy wypoczwarzy się ze mnie wypoczeta myśl, gotowe na świeże nekane. Przypomni mi się. Ale teraz nic mnie nie martwi, nie mam poczucia winy, ani głodu, tylko po prostu siedzę rozpląnięta pod kołdrą i jej zwoje są też trochę mną i to jest OK i jest ciężkie, bo kołdra zimowa i waży, ale na pewno dam radę tak zasnąć.

